№ 36. Warszawa, dnia 5 Września (24 Sierpnia) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:

W Warszawie: kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Helunia zasnęła w marzeniu pobożnem, z wiarą w lepszą, szczęśliwszą przyszłość.

W kilka dni potem wrócił Owanes, i zaraz o uszy jego obiły się głuche wieści, krążące na odaji o zalotach Szymonowicza.

Nie chciał wierzyć, choć to było dla innych rzeczą zwyczajną, chciał usłyszeć o tem z jej ust, a bał się.

Po minie pana Kajetana złej i jakby zgryzionej i po ironicznym uśmiechu gospodyni poznał, że coś tam być musiało, tembardziej, że Helcia taka zdawała mu się smutna, jak nigdy. Oczy jakby przyćmione łzą ani patrzyły na niego, a jeżeli wejrzały, to tem wejrzeniem pełnem tęsknoty bolesnej, od której serce mu się krajało.

To też, gdy upatrzył chwilę, w której mógł z nią pomówić swobodnie — a i to zauważył, iż Helcia teraz już jakby pilnowaną, jakby kontrolowaną była—zapytał jej:

— Helciu, czy to prawda?

Co takiego, nie mówił, nie chciał mówić; serce mu biło i drgało boleśnie.

Dziewczyna spojrzała na niego i rzekła:

— Prawda.

— I ty się zgadzasz? — pytał dalej.

— Na co?

— Na co? Przecież rozumiesz, o co mi chodzi. Podobno się Szymonowicz oświadczył ojcu o twoją rękę.

— Tak.

— I cóż ty na to?

— A co ja mogę? Co ja mogę? Powiedziałam tatce, że za niego nie wyjdę, że go nie kocham, że kochać nie mogę, bo inny zajął mi serce całe, a tatko się jeszcze rozgniewał. Ach, żebyś ty wiedział, co ja przeżyłam w tych dniach! Ty byłeś daleko, daleko; tyś tego nie czuł.

— Czułem — odrzekł z mocą, — ja wszystko czuję, co oni z tobą zrobić myślą. Więc cię zmuszają do poślubienia Szymonowicza?... A czy zmuszą?

Patrzył na nią, wzrok mu się palił dziko, ona nie śmiała podnieść oczu, bała się tych palących źrenic, które czuła na sobie.

— Co ja zrobię? Ty rozumiesz, o co chodzi; tatko powiada, żeś ty biedny, żeś ty jeszcze niczem, a Szymonowicz jest panem.

— Ach i ja panem bogatym będę; ja będę dziesięć razy bogatszym od niego, tylko z tobą i tylko z tobą, boś ty moją siłą, energią, wolą, rozumem - wszystkiem. Pojmujesz, tyś mojem wszystkiem!...

Nie było przy nich nikogo. Ptaszki świergotały, przelatując z drzewa na drzewo, muchy i muszki brzęczały monotonnie. Powietrze było ciężkie, parne, w naturze panował ten spokój, który zazwyczaj poprzedza burzę.

— Rozumiesz, tyś mojem wszystkiem! — powtarzał młody człowiek, ściskając konwulsyjnie jej małą rączkę pieszczoną. — Dla ciebie zostanę bogatym, bardzo bogatym, ale cię mieć muszę. Teraz wiesz. Oni cię mnie biednemu nie oddadzą, im Szymonowicz się podoba, bo on ma własny majątek, bo jest ich wspólnikiem, oni w tem upatrują interes...

Zatrzymał się, a potem ukląknąwszy przed nią, szeptał, całując namiętnie jej ręce:

— Oni mnie się pozbędą, skoro im stanę na drodze, nie uwierzą ani w mój rozum, ani w mo-

je siły, ani w moją młodość. Ja znam twego ojca, to człowiek nieugięty, jego się wszyscy boją i słuchają; ja znam Stefka, brata twego, ten mnie od dzieciństwa nienawidzi; ja ich wszystkich znam... Tyś dla mnie przy nich stracona, a ty przecież nie chcesz mię tracić za to, że ja cię tak, tak bardzo, tak bezgranicznie kocham!?

— Nie, nie, i ja cię kocham—posłyszał odpowiedź cichą, jak delikatny powiew ciepłego zefiru.

— Więc chodź za mną — zawołał, — chodź, uciekaj!... Zaprowadzę cię tam, gdzie ich nie będzie, gdzie sami się tylko sobą cieszyć będziemy mogli.

— Uciekaj ze mną!

Powtórzył to z taką siłą, z takiem pociągającem uniesieniem, że dziewczyna czuła się oczarowaną; przez chwilę na twarzy jej zawisło wahanie, lecz wnet je odpędziła, mówiąc:

— Nie, nie mogę! Za niego nie wyjdę, lecz i z tobą nie ucieknę, ja boję się uciekać, ja się lękam ucieczki, lękam się kary Bożej, kary losu, nie, nie, nie... ja tu zostanę.

Wściekłość w nim zawrzała, płomień wystąpił na twarz, pociągnął ją ku sobie i szeptał:

— Więc wyjdziesz za niego, ja to wiem, oni dokażą swego. Twój ojciec wszystkiego dopnie, to człowiek, który wszystko zgiąć i zgnębić potrafi!

Wyrwała mu się.

— Owanes, tak mnie kochasz? — mówiła z wyrzutem w głosie. — Czy chcesz mojej zguby?

— Ja chcę twojego ocalenia, oni ci zgubę gotują... Nie chcesz zatem, tak?... Słuchaj że: ja tu dłużej być nie mogę, bo za wiele na mnie, jabym zwaryował, oszalał, jabym gotów katastrofę wywołać; ty znasz mię, skoro jestem spokojny, to anioł ze mnie, lecz biada tym, co mi na drodze stają!

Powstał i rzekł:

— Bądź zdrowa!

— Owanes!—wyrwało jej się nagle z piersi,— ty mię porzucasz?...

— Muszę! Bądź zdrowa i pamiętaj: ja będę bogatym, bogatszym od nich wszystkich, pokażę im to nie za rok, nie za dwa, nie za trzy może, ale pokażę w końcu. A jeżeli ty żyć będziesz, moją być musisz, boś ty moja, moja na wieki!

— Twoja... — i chwyciła go za rękę.

Wtem dał się słyszeć głos w bocznej alei:

— Helciu, Helciu, chodź prędzej, pan Szymonowicz przyjechał...

— Przyjechał! Bądź zdrowa!

Zawołał Owanes i znikł w gęstwinie.

Nie mogli się już więcej zejść samnasam. Baczne oko pani Kajetanowej i Stefka spoczywało na nich. Widywali się tylko w towarzystwie innych, bo pan Kajetan wyraźnie i stanowczo zabronił Helci wszelkiej rozmowy z Owanesem. Mówił, że zrobi awanturę, że go wypędzi natychmiast, skoro ich spostrzeże razem.

Porozumiewali się tylko spojrzeniami rzucanemi od czasu do czasu na siebie, był to jedyny ich sposób rozmowy. A rozumieli się mimo to i odczuwali zupełnie.

W kilka dni po ostatniej rozmowie z Helcią, Owanes wróciwszy wieczorem z pola do swego pokoju, zastał pod lichtarzem jakąś kartkę złożoną we dwoje. Zdziwiło go to, rozwinął czemprędzej papier i przeczytał:

„Kochany, drogi, najdroższy mój!

„Próbowałam raz jeszcze mówić z ojcem. Przedstawiłam mu wszystko, co dusza myślała i czuła, prosiłam go, błagałam, by mię nie zmuszał do poślubienia Szymonowicza, gdyż ja go kochać nie mogę, bo kocham ciebie. Mówiłam mu, że będę na ciebie czekać, aż się dorobisz, aż będziesz bogaty, aż się dasz poznać ludziom. Wszystko napróżno. Ojciec rozgniewany dużo mi przykrych słów powiedział, zagroził, że jutro z pewnością wydali cię. Ty masz być wydalony zupełnie tak samo jak zwykły oficyalista, ekonom? Nie... Nigdy... Nie, to być nie może: ja nie chcę tego! Więc proszę cię, idź zaraz do ojca, i sam się zwolnij od obowiązków.

„Wierz mi, ja cię wiecznie kochać będę i do ciebie należeć nie przestanę. Wszystko przetrzymam, na ciebie zaczekam, aż staniesz się bogatym, panem, bo oni tylko wówczas dadzą się przebłagać.

„Bądź zdrów, myśl o mnie, i kochaj mię!

Twoja na wieki

Helcia."

Przeczytawszy to pomimo wzruszenia, które nim miotało, bo czuł na przemian błogość i rozpacz, udał się wprost do Bohdanowicza.

Stary mieszkał na końcu bocznego pawilonu, tuż przy kancelaryi; świeciło się jeszcze w jego pokoju, widocznie nie spał.

Owanes lekko zapukał do drzwi. Nic. Zapukał po raz drugi, dał się słyszeć głos przytłumiony:

— Kto tam? proszę.

Wszedł. Pan Kajetan siedział przy stole w szlafroku i pisał coś, odwrócił się natychmiast, a zobaczywszy Owanesa chrząknął, a potem spytał:

— Czego chcesz o tej godzinie?

— Jutro jadę, wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Odessy.

— Dawno to już trzeba ci było zrobić!

— Cóż to znaczy, nie rozumiem? — zapytał młody człowiek, a nerwy mu się rwały z gniewu.

Stary zatopił weń swe stalowe błyszczące oczy, i zawołał:

— Co to znaczy?... Ty wiesz, o co chodzi... Lepiej jednak nie mówmy o tem, mógłbym nie zapanować nad sobą, a mam do tego powody.

To był ojciec Helci; Owanes, wstrzymał się więc, obcemu byłby z pewnością odpowiedział inaczej.

Siłą woli zdobył się raz jeszcze na umiarkowanie.

— Jadę jeszcze dzisiaj — powiedział wolno— i dlatego proszę pana o uregulowanie mojego rachunku i przesłanie mi należności mej na imię Bazylego Kurgopulo.

Stary zdawał się nie słyszeć tego, mówił jakby do siebie:

— Będą cię tu długo, bardzo długo pamiętali.

— Będą mnie tu zawsze pamiętali, i ja o nich nie zapomnę, skoro wrócę bogatym panem!

To rzekłszy wyszedł.

We dwie godziny po owej rozmowie w gabinecie pana Kajetana, na odaji rozległ się turkot głuchy wśród ciszy nocnej. Wszyscy już spali, nikt nawet nie wyjrzał z chaty, tylko stróż nocny przystanął, a oparłszy się na kiju patrzał na szaraban wiozący Owanesa w świat. Bo to on wyjeżdżał z Wysokiej z rozpaczą w duszy a gorącą miłością i tęsknotą w młodem, niezepsutem sercu.

Ohana usunął się z drogi rywalowi, zostawił pole swobodne do działania rodzicom Heluni, a sam pędzony przez los nienawistny, który wyrwał go z rozkosznego marzenia, rzucał się śmiało w otchłań życia bez jutra. Opuszczając odaję, nie wiedział, co będzie właściwie robił na szerokim świecie, nie zdawał sobie na razie sprawy z położenia ciężkiego, umysł i serce miał zajęte zupełnie, a boleśnie uciśnione zarazem. Czuł tylko jedno, że tę, od której go usunęli, odepchnęli, miłował więcej niż wszystko, co uważał za najdroższe.

Jednakże dzięki wrodzonej zapalczywości i sprężystości ducha, potrafił w części przynajmniej uśmierzyć burzę, którą odczuwał w sobie, i zaczął napowrót stawać się panem siebie i swojej woli. Zwyciężył uczucie, ukrył je głęboko, w sercu swem; miłość Helci stała się dlań świętością niepokalaną, niewzruszoną. Powoli, zdaleka od swoich, zdaleka od Wysokiej, zaczął mu się wyłaniać jasno cel życia nowego, a promieniał on przed nim nie jako ideał nieuchwytny, wysoki, nadziemski, lecz jako potęga złota. Miał inteligencyę, spryt, rozum; brakło mu tylko bogactwa, postanowił więc zdobyć je, by im pokazać, że ma, ma to złoto, że go ma dużo, bardzo dużo.

Ciężkie były początki. Czasami zniechęcenie odbierało mu siły do dalszej pracy; chwytał się wszystkiego po kolei, aż dopiero po roku, dzięki sprzyjającym okolicznościom wszedł w sfery handlowe. Tu naprawdę ujrzał pole właściwe dla swych zdolności przyrodzonych i energii.

Nie zawiodły go też nadzieje, handel rozumnie i na szeroką skalę prowadzony przyniósł mu fortunę po latach dziesięciu. Został bogatym, będąc jeszcze w pełni męzkiego wieku. Towarzysze, spólnicy widząc, że zwija wszystkie interesa, dziwili się, i odradzali mu. Nie mogli zrozumieć, że ten człowiek, który zdawało się, duszę całą włożył w przedsięwzięcia finansowe, dla którego pieniądz był bogiem niemal, że ten człowiek ma i inne pragnienia, jakieś uczucie idealne, przenikające go nawskroś i ciągnące ku nieokreślonemu, niepewnemu celowi. Ohana na wszystkie perswazye odpowiadał uśmiechem i żartem. W ciągu kilku miesięcy zlikwidował zupełnie swoje interesa i wrócił do Odessy, zkąd przed laty kilku wyruszył biedny, zrozpaczony, zgryziony—na Wschód daleki. Tutaj, w tem wielkiem mieście, dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności udało mu się wejść w układy z Sabescu, zbankrutowanym właścicielem Nikoreszt, o których istnieniu już dawno wiedział. Majątek od niego kupił tanio i tym sposobem stał się sąsiadem Teleszówki.

A Helcia opierała się rok cały zalotom Szymonowicza i namowom rodziców, tęskniła strasznie za Ohaną; był czas kiedy zaczynali się obawiać o jej zdrowie. Jednakże uległa w końcu; czas złagodził tęsknotę, wspomnienie stało się rozkoszą cichą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nasi najmłodsi.

(Ciąg dalszy)

II.

Autor *Chaty Nikodema* zdaje się posiadać wszelkie warunki niezbędne do zdobycia laurów poety popularnego. W jego organizacyi artystycznej pierwiastkiem głównym jest uczuciowość, a uczuciem łatwiej bądź-co bądź dzielić się, niż myślą. Kto posiada dar wzruszania, liczniejsze dokoła siebie zgromadzić zdoła tłumy, niżeli ten, który zawrotnemi ścieżkami marzenia wiedzie na szczyt idei.

Pełne serdecznej prostoty utwory Glińskiego bezwzględnie dostępniejszymi są dla ogółu, niżeli filozoficzne poezye Langego, które mimo przedziwną piękność formy nie mogą liczyć na szerokie koła czytelników.

Inną właściwością Glińskiego, właściwością, która powinnaby także przyczyniać się do popularności jego imienia, jest wybitnie i niezaprzeczenie swojski charakter jego utworów.

Wszyscy prawie młodzi poeci nasi pili obficie z odurzającej krynicy, która w ostatnich dziesiątkach lat na zachodzie Europy wytrysła, wszystkim prawie chrztem poetyckim była kąpiel w nowożytnych prądach twórczości europejskiej. To też niby niewyraźne przypomnienia poprzedniego bytu snują się po ich utworach jakieś dźwięki obce, jakieś tony, nie tony a echa tonów wyśpiewanych już gdzieś w dali. Odnosi się to zwłaszcza do początków ich twórczości, zanim zdołał każdy z nich z pod wpływów tych się otrząsnąć, i własną swą indywidualność wyraźnie zaznaczyć.

Gliński od zdroju tego, toczącego to mętne, to kryształowe, to wszystkiemi barwami tęczy mieniące się wody, stał zawsze zdaleka, i jeśli kiedy przylgnął doń ustami, to chyba na chwilę tylko, i ani się odurzył, ani pić wi[illegible] zapragnął. Własnych niw strumienie w[illegible]czały mu. Nadaremnie też szukalibyśmy w jego pracach śladu nowych kierunków umysłowych i literackich zrodzonych na Zachodzie lub Północy. Zarówno panteistyczny mistycyzm Maeterlincka z wyrafinowaną prostotą formy, jak mglisty symbolizm lub dekadentyzm francuzki, jak którykolwiek wreszcie z prądów współczesnych nie odbiły się na twórczości jego ani jednym rysem znamiennym.

Gdy do tych właściwości talentu Glińskiego dodamy, że jako człowiek przekonań nie stanął on na żadnem ze stanowisk krańcowych, mogących go wobec pewnego odłamu czytelników depopularyzować, że z nadzieją zwracając się ku przyszłości dla przeszłości zachował cześć, że łagodzenie antagonizmów społecznych, zlewanie rozdźwięków bolesnych w jeden akord miłości, uczynił ideą przewodnią wszystkich niemal utworów swoich, dojdziemy do przekonania, że istotnie posiada on dane do zgromadzenia wkoło siebie najliczniejszego grona zwolenników. Jeżeli zaś mimo to wszystko nie zdobył on i setnej części tej popularności, jaką w pewnym okresie życia swego cieszył się na przykład Syrokomla (z którym wiąże nawet Glińskiego pewne powinowactwo duchowe), to przyczyn tego dopatrywać potrzeba w dziwnem i smutnem zobojętnieniu społeczeństwa naszego dla poezyj wogóle. Niepodobna być ulubionym pieśniarzem tam, gdzie pieśń nie jest lubiona.

Po tych kilku uwagach natury ogólnej przejdźmy do szczegółowego zapoznania się z dotychczasowym dorobkiem twórczym poety.

Prócz powieści, które w zakres studyum naszego nie wchodzą, składają się nań dramata: „Obłąkani," „Almanzor," „Anna Firlejówna," obrazki dramatyczne: „Z walk życia," „Chata Nikodema," „Wspomnienie Tatrów," „Pieśń królewska" i spora wiązanka drobnych utworów lirycznych.

Pomijając dramata, których obszerną recenzyą drukowało kiedyś pismo nasze, zajmiemy się pozostałą resztą utworów Glińskiego.

„Wspomnienie Tatrów" są to opowiadania o doznanych w czasie podróży górskiej wrażeniach, przygodach, niebezpieczeństwach i t. d.

„Wspomnieniu" temu brak szczerego odczucia przyrody. Brak ten napróżno usiłuje autor zastąpić opisowością. Najsympatyczniej też przedstawiają się ustępy, w których poeta zapominając o górach, zwraca się ku przeszłości swojej, mówi o swoich smutkach, pragnieniach, opowiada marzenia i sny.

To widzenie na przykład, które miał na zamku Czorsztyńskim, to fragment istotnie przeżyty i odczuty.

„Jaka mi nagle uderzyła w serce
Fala krwi!... Zamku rozbiegły się ściany,
Zajaśniał komnat rzęd, strojny w kobierce.
Podwoje pękły... Głuchy, urywany
Kroków stuk słyszę i jęki omdlałe,
Powstają białe widma, niby białe
Anioły ruin... przez zamku komnaty
Poważnym pląsem idą — błyszczą szaty
Z lam, złotogłowiu. — Jakieś smętne dźwięki
płyną w powietrzu — i t. d."

Polecam czytelnikom ten ustęp, kończący się słowami:

„O nie pytajcie mnie, poczem i za czem
Pierś swą rozdarłem jakimś wielkim płaczem!"

„Krwią serca", jak sam autor się wyraża, pisany obraz dramatyczny p. t. „Z walk życia," przypomina tematem jeden ze znanych utworów Goethego. Temat to zresztą stary jak wieczysty rozdźwięk między poezyą a życiem. Gliński nadał mu barwę aktualności i charakter do pewnego stopnia lokalny.

Przy głodnej żonie i chorem dziecku *poeta* kończy pośpiesznie robioną na zamówienie farsę, „potwór ducha zrodzony w niedoli." *Poeta* buntuje się przeciwko konieczności życia, która „aureolą klownów cyrkowych" przystroi mu czoło, gardzi sobą, ale nędza-kusicielka nakłania do pracy haniebnej. Dziecię płacze, żona przez sen skarży się, że głodna. Po chwili *towar* jest gotowy Odnieść go tylko potrzeba, i wziąć zapłatę, która niemowlę ocali od śmierci, matce sił doda.

Ale na progu zastępuje *poecie* drogę *widmo*, przybrane w kwiaty, których wonią upajał się niegdyś.

„Ktoś ty, duchu?" — pyta *poeta*.

„Jam jest pierwszem dziecięciem Boga... Jak on tworzę światy" — brzmi odpowiedź.

„Złota era
Apollinowych dni już mnie pamięta...
Byłam piastunką ślepego Homera,
Chodziłam z Dantem w piekło, i ujęta
W złote Petrarki struny, grałam pieśni,
O których dzisiaj śmiertelnym się nie śni.
I w piorunową noc, przy burzy grzmotach
Jam wiodła Leara, olbrzyma cierpienia..
I słyszeliście mnie w wichrowych lotach,
Co w rozdartego serca jęk się zmienia,
I w druidycznych wam śpiewałam grotach,
Arfą Derwida, co ma głos z płomienia,
Która krzyczała, że noc i śmierć głucha
Na ludy panie bez tej arfy ducha.

. . . .

Poezyą jestem!"

I zwracając się do *poety* wyrzuca mu *widmo*, że „zniżył skrzydeł swych sztandary," że nie szedł „na wyżyny przez ciernie żywota," że nie ukochał poezyi duszą całą. Odpływa widmo, *poeta* biegnie za niem, wołając: „Maro! maro!" Tymczasem żona wpółsenna, klęcząca u kołyski niemowlęcia zrywa się z krzykiem:

„Ty jeszcze tutaj?! A dziecko umarło!"

To zakończenie szarpie nerwami, ale czyż rzeczywistość zgrzytem takim nie odzywa się niekiedy?

Zbiorek drobnych poezyj Glińskiego wydany w roku 1893, mieści w sobie utwory poety z lat dawniejszych: bajki, sonety, piosenki, fragmenty i t. d. Bardzo wiele pełnych wdzięku i prostoty urywków, które poeta w ciągu paru lat ostatnich rozrzucił po różnych czasopismach warszawskich, nie spotykamy w tym tomie. Złożą się one zapewne na tom drugi, który pod względem wartości artystycznej przewyższy z pewnością pierwszy.

Rozglądając się w tem, co dano nam dotychczas, widzimy, że dominującą tutaj jest nuta współczucia dla cierpiących i upośledzonych.

Poeta jest przekonanym, że: by społeczeństwo z chorób moralnych uleczyć,

„Nie groźb i złorzeczeń,
Nie przekleństw potrzeba,
Nie nowych pręgierzów do bicia,
Lecz słowa miłości,
I światła i chleba,
I życiu dać prawo do życia."

Radby zwrócić myśl możnych i uprzywilejowanych tego świata ku ginącym w męczarniach ducha i ciała, chciałby by „w wirze płynąc tanecznym" pamiętali „o ludzkiej niedoli." Pojednawczy ten nastrój zaprawia czasem gorycz pewna. Tworzy poeta wtedy obrazki posępne jak owego „Gęsiarza" na przykład, co to w dzieciństwie pasał gąski, sierota—i po żywocie znojnym, a samotnym na starość znowu do gęsi powrócił, i któregoś ranka zmarł dziad na ugorze, i nawet „nikt nie widział, jak czoło unižył, jak się z ciałem duch marny rozprzęgał." Nie tylko goryczą, ale i rodzajem mściwości naiwnej zaprawny jest wierszyk p. t. „Nie tak! Nie tam!" Opowiada w nim autor o takim, co miał tylko sukmanę i silne dłonie, a takie dziwne losy, że zawsze żył nie tak, i szedł nie tam „gdzie pany." I na starość też ruszył *na żebry*,

„I szedł przed siebie, jak gnany
Z obwisłem skrzydłem ptak,
Nie tak jak pany,
Nie tak!

Wsunął w żebracze łachmany
Wychudłe członki,
Umarł na progu kościelnym,
Gdy w niebie grały skowronki...
Nic mu już smutki, nic rany!
Do rajskich poszedł bram,
Nie tam, gdzie pany,
Nie tam!

Jednym z najartystyczniejszych ustępów zbiorku, który mamy przed sobą, jest wiersz „Nie dla mnie.” Melancholijna tercyna ma tu wiele wdzięku.

„Słońce i gwiazdy, motyle i róże,
I sny miłości — już nie dla mnie, Panie!

Nad czołem mojem przeleciały burze
I błyskawice pożarem czerwone...
I duchy jakieś, co niosły w purpurze

Krew... I pognały wszystkie w tamtą stronę,
Z której już żaden żywy duch nie wraca,
A ja za niemi oczy mam zwrócone!”

Ładną także jest „Straszna Bajka.” Niestety zbyt długa, by można przytoczyć ją w całości, straciłaby wiele charakterystycznej grozy swojej, gdybyśmy chcieli podać czytelnikom wyrwane z niej pojedyncze strofy.

Perełką prawdziwą wśród utworów Glińskiego, jest drukowana niegdyś w piśmie naszem „Chata Nikodema.” Czytelnikom „Tygodnika” nie potrzebuję przypominać jej treści. Nie zatarła im się chyba w pamięci wdzięczna postać Salusi, wyciągającej ramiona ku chatom rodzinnym:

„Teraz pójdę śmiele
Gdzie serca chore, gdzie się myśl rozprasza,
Jak niezwiązane pilną ręką ziele —
I powiem chatom: jestem córka wasza!
I niwom powiem: drobnem ziarnkiem jestem,
Kłosem pszenicznym i wiatru szelestem —
Nad wygonami pól stanę z uśmiechem,
Miodowem kwieciem śród łąk się uścielę,
Zapachnę sianem i zadzwonię echem,
Ja, dziecię chłopskie!“

Mogłaby to być prześliczna rola dla artystki lirycznej.

Zwracaliśmy uwagę czytelników na skłonność Glińskiego do jednania wszystkiego, co pokłócone, do zlewania w harmonję wszystkiego, co brzmi rozdźwiękiem. Nigdzie nie ujawnia się to wyraźniej jak *w Chacie Nikodema*. Jest tu surowe potępienie pewnych upiorowych uroszczeń. Ród — powiada młody hrabia.

„Złamane
Skrzydło to orle, i dziś nic nie warte
A pióra jego nikczemnie wytarte
I tak zwalane ojcze, tak zwalane!“

Łagodzi je jednak obraz ostatni: dziewczę wiejskie w objęciach magnata i słowa: „W takim uścisku tylko przyszłość nasza!“

W dobrej jakiejś chwilce natchnienia powstał ten poemacik serdeczny, który w innych czasach sam jeden zapewniłby popularność autorowi, uczyniłby go ulubionym gęślarzem, w piastowych chatach zawsze radośnie witanym.

Poeta serca przemawia Gliński do serc współczesnych swoich. Czy odpowiedzą mu one kiedy uderzeniem silniejszem?

H. C.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szkoły zawodowe żeńskie

na zachodzie Europy.

Wśród wielu nowych instytucyj, powołanych do życia na skutek zmian, zaszłych w warunkach bytu kobiety, spotykamy nieznany przed kilku jeszcze dziesiątkami lat typ szkół żeńskich, który niezmiernie szybkie zyskał rozpowszechnienie i doskonalony z każdym rokiem, najpomyślniejsze dzisiaj już daje rezultaty.

W angielskiem czasopiśmie „Contemporary Review” znajdujemy sprawozdanie pani Marion Malholl, w którem dzieli się autorka zadawalniającem pod każdym względem wrażeniem, jakie sama wyniosła z widzianych na kontynencie europejskim tego rodzaju zakładów naukowych.

Bardzo pobieżnie wspomina tam p. M. o Francyi; jak widać stawiają tutaj Francuzi pierwsze dopiero kroki, dla tego przedwczesnymi mogłyby się wydać wszelkie sądy i opinie o ich pracy na tej drodze. Natomiast Hollandya, Belgia, Niemcy, a nawet Austrya wychodzą dodatnio w opowiadaniu angielskiej turystki, jak to wreszcie czytelnicy sami osądzić będą mogli.

Przedewszystkiem program takiej szkoły żeńskiej jest wszędzie mniej-więcej jeden i ten sam, wszędzie bowiem wyszli inicyatorowie z tego samego założenia. Szło o to, aby opuszczająca szkołę młoda dziewczyna oprócz niezbędnych wiadomości naukowych, miała gotowe kwalifikacye do natychmiastowego zarobkowania, a więc różnice mogą być tylko takie, jakich wymagały warunki czysto lokalne. Każda podobna szkoła ma podwójne zadanie: rozwój intellektualny ogólny i uzdolnienie do pracy ręcznej w jakimkolwiek kierunku. Odpowiednio do tego podzielony jest czas uczennic. Nauczyciele w jednym i drugim oddziale nie są ci sami, przedmioty wykładane zupełnie odrębne, ale oba oddziały mieszczą się w tym samym gmachu szkolnym. Pół dnia, t. j. trzy godziny, poświęcają dzieci nauce przedmiotów wykładanych i do tej pory we wszystkich szkołach początkowych i średnich; drugie pół dnia przeznaczają na naukę rzemiosła, procederu, fachu — jednem słowem na przysposobienie kandydatki do jakiegokolwiek zawodu.

Najdawniejszą szkołę tego typu znalazła pani M. w Amsterdamie. Istnieje ona tam już od roku 1865. Uczennice przyjmowane są poczynając od 12 roku życia, po złożeniu egzaminu wstępnego z nauki czytania i pisania, arytmetyki początkowej i rysunku. Kurs nauk jest trzyletni, a z rzemiosł uczą: rysunku, introligatorstwa, rzeźbienia na drzewie, kroju i konfekcyi damskiej, szycia, fabrykacyi kwiatów sztucznych i koronkarstwa. W ostatnich latach dodano naukę telegrafowania i używania maszyny piszącej.

Uczennic uczęszcza do szkoły 200.

Szkoła w Brukselli używa wielkiej wziętości. Założona z hojnych darów dam filantropek stanęła odrazu na stopie pożądanego rozwoju. Urządzona wzorowo nie zaniedbuje niczego, co się do pożytku uczennic przyczynia, a jako przykład służyć może bezpłatna wypożyczalnia książek, złożona z 12 tysięcy tomów.

Przedmioty wykładane: arytmetyka, historya, nauki przyrodnicze, hygiena i ekonomia domowa. Z zawodów i rzemiosł nauczają tam: rysunku, modelowania, malarstwa na porcelanie, fabrykacyi kwiatów sztucznych, przytem: mody i stroje, koronkarstwo, hafty, pismo maszyną i telegrafowanie. Kurs jest trzyletni. Szkoła kwalifikuje do powołania bezpośrednio po uzyskaniu świadectwa. Założona w 1872 roku klassa malarstwa zyskała tak szerokie uznanie, że uczennice przed opuszczeniem zakładu mają korzyści materyalne ze sprzedaży wystawionych przedmiotów. Zaczęto malowanie wachlarzy, ale gałąź tę, która nie dawała zysków, zarzucono niebawem. Klassa kwiatów sztucznych wyrabianych w tej szkole wyrugowała z Belgii kwiaty francuzkie, a przywóz tego towaru zamienił się w krótkim bardzo czasie na eksport belgijskiej produkcyi, i nie mogło być inaczej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że szkoła odznaczoną była na pięciu wystawach europejskich, a między temi uzyskała srebrny medal w Paryżu, a złoty w Amsterdamie.

Nauczających jest 16; w tej liczbie dwóch tylko mężczyzn, mianowicie nauczyciele rysunku i malarstwa. Uczennic w pierwszym roku było 60; obecnie jest 150 wnoszących opłatę, i 170 korzystających z nauczania bezpłatnego. Opłata roczna początkowo wynosiła 37 franków, obecnie podniesiono ją do 125 franków. Wiek wymagalny lat 13. Egzamin wstępny taki sam jak w szkole amsterdamskiej. Oprócz tego korzystają uczennice z kursu gospodarstwa i ekonomii domowej. W każdym kwartale obowiązkowo przez jeden tydzień obznajmiają się dziewczęta pod kierunkiem specyalnej nauczycielki ze wszystkiem, co dotyczy zarządu domem, kuchni, i wogóle całego domowego ładu i porządku. Nauka łączy teoryę z praktyką i tak się uzupełniają te wiadomości z wiekiem przez cały okres trzyletniego uczęszczania do szkoły.

Niezależnie od tego istnieje w Brukselli specyalna szkoła gospodarstwa domowego dla dziewcząt klassy robotniczej, położona w dzielnicy miasta zamieszkałej przez ludność fabryczną i rzemieślniczą.

Uczennice wstępują tam po ukończeniu szkoły elementarnej. Wyszedłszy z założenia, iż niema w tym stanie takiej pomyślności materyalnej, którejby nie mogła zrujnować nieumiejętność lub niedbalstwo gospodyni domu, postanowiła sobie pani Ecsteen, przewodniczka tego zakładu, obznajmiać młode dziewczęta ze wszystkiem, czego wymaga położenie kobiety w klassie zarobkującej. Jest to zadanie umożebnionem w Belgii w wysokim stopniu, bo nie brak tu niczego do tego celu, nawet podręczników specyalnych. Otóż czas uczennicy dzieli się tutaj między szycie ubrania męzkiego, kobiecego i dziecinnego, reparacyę bielizny, sukien, i naukę kuchni zastosowaną do potrzeb klassy, dla której dzieci szkoła jest przeznaczoną. Dziewczęta robią same zaku-

py w mieście, przygotowują śniadania i obiady, trzymając się w granicach 60 centymów przeznaczonych na obiad i 30 centymów na śniadanie. P. Mulhall uczestniczyła w takiej skromnej uczcie, i znalazła wszystko, co jej podano, wybornem.

Do przedmiotów, których uczą się w tej szkole dziewczęta należy i rachunkowość domowa. Ponieważ przewidywać należy, że uczennice zostaną kiedyś żonami niższych urzędników, drobnych kupców lub rzemieślników, przeto między wzorami w ich księdze rachunkowej znalazła pani Mulhall rozszczególnienie pozycyi domowego budżetu na sześć osób w rodzinie, przy dochodzie rocznym 3,000 franków.

Przewidziane są tam wszystkie potrzeby, poczynając od mieszkania aż do funduszu na chorobę lub wypadki nieszczęśliwe, a stałą nienaruszalną pozycyę stanowi pewien procent przeznaczony na wkład do kassy oszczędności.

Wogóle zdaniem angielskiej turystki zrobiła Belgia bardzo wiele dla podniesienia bytu moralnego i materyalnego swojej kobiety należącej do klassy robotniczej, stanu rzemieślniczego i małego kupiectwa.

Królestwo Würtemberskie ma swoją wzorową szkołę dla dziewcząt, założoną w roku 1868 w Reutlingen. Uczennic jest 300 a przy internacie kurs dwuletni.

Szkoła monachijska nie różniąca się programem od powyżej wymienionych, jest to także zakład z internatem. Uczennic stale mieści się tam 120. Opłata miesięczna 3 franki 75 centymów.

Cena sama wpisu wskazuje, że instytucya nie może opłacać się materyalnie, i dlatego pospieszamy z objaśnieniem, że powstał ten zakład staraniem stowarzyszenia poprawy bytu klass robotniczych. Jest przy szkole monachijskiej i klasa nauczycielek, które są dyplomowane przy opuszczeniu kursów.

W kilku kantonach szwajcarskich znalazła pani M. wzorowe prawdziwie klassy wieczorne dla dziewcząt. Uczą tam rysunku, robót ręcznych i śpiewu. Co do szkół zawodowych, o których mówimy tutaj przedewszystkiem, używają wziętości: genewska i druga założona pod Zurich.

W obydwóch program ten sam mniejwięcej, który znajdujemy w tego rodzaju zakładach Niemiec południowych.

Austrya nie pozostaje w tyle po za innemi państwami europejskiemi. Pierwszą szkołę zawodową założyły damy filantropki w Klagenfurcie w roku 1868. Obecnie ma Austrya 398 tego rodzaju zakładów, a w nich 18,000 uczennic. Wszystkie mniewięcej założone na wzór szkoły zawodowej brukselskiej. Wogóle Wiedniowi nie brak szkół przygotowujących kobietę do powołań niższych, z uniwersyteckiem tylko wykształceniem żeńskiem idzie tam dosyć nieszczęśliwie, jak wiadomo. Za to szkoła kucharek wiedeńskich słynie bardzo szeroko, przysposabia mistrzynie prawdziwe w tym fachu, a że Wiedeńczycy są gurmandami znanymi w Europie, i że nie mało wagi przywiązują do swoich sosów i melspejzów, więc obecnie zabiera się municypalność tego miasta do założenia dwóch jeszcze podobnych akademij.

Ale chwałę prawdziwą stolicy Naddunajskiej stanowi zdaniem p. Mulhall żeńska szkoła haftu pod kierownictwem pani Saint Georges. Kurs jest niby pięcioletni, ale większość dziewcząt opuszcza szkołę po trzech, a nawet po dwóch latach i wychodzi ztamtąd zupełnie usposobiona do zarobkowania. W zakresie tej specyalności niema tam podobno braków żadnych. Do doskonałości prawdziwej doprowadzono hafty: tureckie, perskie, japońskie, indyjskie, a nawet stanowiący nowość w Europie haft paraguayski, przywieziony tutaj przez kobiety Guarani. Koronka z włókien aloesowych, którą produkuje zakład, jest robotą tak eteryczną, że może być wykonaną tylko przy drzwiach zamkniętych. Wiatr chodzący po sali psuje te tkanki pajęcze.

Szkoła p. Saint Georges jest bezpłatną.

T. M.

Leczenie słoneczno-atmosferyczne.

Rzadko dosyć trafia się słyszeć Francuza, utyskującego na małą wynalazczość francuzką, a chętnie przyznającego sąsiadom z tamtej strony Renu jakąkolwiek pod tym względem wyższość. Z takiem jednak utyskiwaniem spotykamy się w jednem z pism francuzkich. Autorem korespondencyi jest człowiek, który w kraju swoim przez długi czas nie mógł znaleźć ulgi na dręczące go dolegliwości, a który znakomitego, jak twierdzi, polepszenia doświadczył w zakładzie kuracyjnym położonym w Austryi, w Górnej-Krainie na pograniczu Włoskiem.

Zachwycony rekonwalescent opowiada o tamtejszej metodzie leczniczej, tłómaczy jej korzyści, zachęca do naśladowania wszystkich, którzy bez skutku połykają z roku na rok massy wód mineralnych albo kąpią się w wodzie rzecznej, źródlanej i morskiej. Przedewszystkiem wychodzi on w dowodzeniu swojem z założenia, że człowiek nie jest amfibją, i że chcieć wszystkie jego niemoce powierzać działaniu wody, jest tem samem, co wynieść na powietrze szwankującą na zdrowiu rybę.

Ponieważ streszczamy tutaj tylko cudze zapatrywania, wolno nam tedy będzie zrzekłszy się za nie wszelkiej odpowiedzialności, przytoczyć i resztę wywodów i argumentów tego fanatyka jednej z metod leczenia naturalnego. Przedewszystkiem tę wynalazczość niemiecką, o której wspominaliśmy na początku, widzi on w wielkiej różnorodności przepisywanych środków i odpowiedniej ilości nowo-powstałych w Niemczech zakładów kuracyjnych.

Podczas gdy Francuzi znają tylko kąpiele zimne, gorące lub letnie, stosują z wielkiem powodzeniem Niemcy gimnastykę racyonalną, metodę zupełnego spoczynku, wegetaryanizm, nacieranie i massaż, a nakoniec te kąpiele atmosferyczno-słoneczne, które jego samego uleczyć miały.

Wszystkie cierpienia (zawsze słowa owego korrespondenta) zawdzięcza człowiek cywilizacyi. Gorset uciskający płuca i tamujący swobodne funkcye serca, ciasne obuwie przeszkadzając prawidłowej cyrkulacyi krwi i koncentrujące tę krew w górnych częściach organizmu, potrawy wyszukane, które łechcą mile podniebienie, ale na które wzdryga się żołądek i wątroba, wreszcie hermetyczne okrywanie powierzchni ciała, niedopuszczające transpiracyi — oto krzywdy, jakie wyrządza człowiekowi ślepe stosowanie się do przyjętych powszechnie zwyczajów. Dajcie pokój mięsu, truflom, czekoladzie, alkoholicznym przetworom, a poprzestańcie na chlebie grubo-ziarnistym, kapuście, kartoflach i owocach wszelkich, przy wodzie jako napoju jedynym; uwolnijcie ciało od więzów i dajcie do jego powierzchni przystęp dobroczynnemu powietrzu i ożywczym promieniom słońca, a przekonacie się jak szybko oswobodzeni będziecie od wszystkiego, co was udręcza pod względem fizycznym.

Tymi właśnie środkami walczy lekarz hygienista, jak on sam siebie nazywa, w zakładzie, o którym wspominaliśmy. Pacyenci mieszkają w specyalnych chatach przewiewnych, nazywanych tam: „Lufthütte" których dach stanowią konary kasztanów rozkosznie poruszane wiatrem—mocniejszym lub słabszym, ale zawsze dla zdrowia ludzkiego bezwarunkowo zbawiennym.

Wstają z rana o godzinie 4-tej wszyscy leczący się, i pierwszym ich obowiązkiem jest wyjście w stroju Adamowym na świeże powietrze. Po takiej parogodzinnej kąpieli okrywani oni bywają kocami, kosztują transpiracyi także na wolnem powietrzu, poczem następuje opłukiwanie wodą i znowu kąpiel słoneczno-powietrzna. Przez cały dzień z pewnemi zmianami odbywa się to tratowanie, a ciągle korzysta szczęśliwy chory z nieograniczonej ilości tlenu, który wdycha obowiązkowo w dozach „*à discretion.*"

Odżywianie organizmu odbywa się w ten mniej więcej sposób: pierwsze śniadanie stanowi kawałek chleba z miodem, drugie chleb z konfiturami i mleko, obiad, składający się z polenty, kapusty w różnych odmianach, szparagów i wody, dopiero o godzinie 6-tej po południu; znowu kąpiel powietrzna wieczorem, i nakoniec spoczynek w owej lufthücie pod nakryciem dobroczynnych kasztanowych liści.

Leczącym się przypominają ciągle sentencyą Moliera:

„Nie mówcie nigdy, że chory umarł na taką lub inną gorączkę — na takie lub inne zapalenie. Pamiętajcie, że chory umiera zawsze na taką lub inną liczbę doktorów i aptekarzy."

Może być, że zrazu trudno trochę nawyknąć człowiekowi do tego regulaminowego stanu natury, ale i tu umieją pocieszyć chorych wyrażeniem Karola V: „Ci ludzie mają wszyscy miny waryatów, a tymczasem są to ludzie rozumni."

Wprawdzie, nie o zwolennikach kąpieli powietrzno-słonecznych powiedział to Karol V-ty, ale dlaczegoby i oni nie mieli tego wziąść do siebie, jeśli im to tylko robi przyjemność.

K.

NAD SIŁY.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

Przerzućmy kilka kart z życia człowieka, którego zostawiliśmy w kancelaryi naczelnika stacyi, gdy odczytuje telegram wobec utkwionych w niego badawczych spojrzeń całego służbowego personelu. Potrzebny nam odręczny chociażby szkic tej postaci, której bez rzutu oka na jej przeszłość trudnoby nam może było zrozumieć.

Pan Melchior R. wielce przez zwierzchność jednej z komisyj rządowych ceniony naczelnik wydziału, charakter którym się odznaczał, opi-

nią której używał, i pozycyę towarzyską, którą zajmował, zawdzięczał okolicznościom całkowicie wyjątkowym. Podczas, gdy jednym rozświecają drogę życia dobre przykłady ich najbliższego otoczenia w wieku młodym, a w późniejszym moralność sfery do której pochodzeniem i życiem należą, o panu Melchiorze mówiło kilku ludzi, którym przeszłość jego była bliżej znaną, iż został człowiekiem... ze strachu. Syn ubogiego rzemieślnika, ukształcenie początkowe i dalsze, charakter, pojęcie o obowiązku i godności ludzkiej, stanowisko, szacunek ludzki, a nawet i ten szczupły dział szczęścia, który mu się dostał zbyt późno może — wszystko to zdobywał u losu niesłychanemi ofiarami i wysiłkiem — wszystko brał szturmem.

Niełatwo było znaleźć jego uznanie, nieufnym był i wymagającym, wtedy, kiedy już nie on z ludźmi, ale ludzie z nim rachować się musieli. Nie brał mu tego za złe nikt z tych co go znali oddawna, bo jeżeli kto to ten człowiek, mówiono powszechnie, zdobył sobie prawo do bezwzględnego sądu swoim wstrętem do kompromisów z honorem i obowiązkiem.

W dzieciństwie patrzył w domu rodzicielskim na ciemnotę, ubóstwo z jego nieodłączną nieporadnością — widział nałóg i upadek. Obcowanie z ciemnotą dało mu pragnienie światła, bierne poddanie się nędzy budziło jakąś nieprzepartą potrzebę wydarcia się z jej otchłani, a widok ojca słaniającego się na nogach pod wpływem trunku, omierził mu nietylko sam nałóg i jego następstwa, ale i sferę społeczną, w której takie zboczenia traktowane były jako chleb powszedni.

Energia takiego aspiranta do wyzwolenia się z więzów otoczenia, musiała mieć koniecznie pewną przymieszkę dzikości, ale bez tej dzikości, wstrętu i grozy jakie w nim budziło poniżenie, nie byłby mu się wydarł z największą pewnością.

Uczuciowym taki przyszły wyzwoleniec nie może być z pewnością w chwilach pierwszych męzkich postanowień swoich; oglądać się po za siebie wychodziło na to samo, co chwiać się — słabnąć — ustać w połowie drogi.

Ustać nie myślał, a więc ani się chwiał, ani oglądał, tem mniej żałował tego co rzucał.

Po dwu latach nauki w ówczesnej szkole rzemieślniczo-niedzielnej zapragnął dostać się do gimnazyum, w którego gmachu mieściła się szkoła. Widok młodzieży tak odmiennej od tej, z którą on zostawał w stosunkach codziennych, czarował go, nawet te sale klass pustych wywierały nań wpływ jakiś niepojęty. Przeczuwał w tem wszystkiem środek ucieczki przed warunkami bytu, w których go los umieścił, a ten byt był dla niego zmorą prawdziwą. Nad ogromem trudności, które go murem odgradzały od wykonania tego co zamierzył, nie zastanawiał się bardzo. Samo rozważanie, przewidywanie i obmyślanie mogło skruszyć postanowienie najsilniejsze, wreszcie o tem czego mu nie dostawało, on wyobrażenia dobrego nie miał i po raz pierwszy rzucił mu światło na te jego braki protektor, którego sobie sam obrał instynktem jakimś szczęśliwym. Był to prefekt szkół rzemieślniczych—ksiądz niemłody już, wyrozumiały i przystępny. Zbliżenie się do niego nie przerażało — owszem w trudnych okolicznościach zwyczajem było udawać się do tego pośrednika o poparcie wobec innych członków szkolnej zwierzchności.

Upatrzywszy chwilę sposobną szedł za nim ku mieszkaniu jego na Kanonii ubogi chłopiec rzemieślniczy, i dopiero przy drzwiach samych zdecydował się zbliżyć i wybąknąć coś w rodzaju nieśmiałej prośby, sformułowanej w dodatku Bóg wie po jakiemu — a więc niejasnej — chaotycznej, która mogła zrazić niejednego mniej wyrozumiałego protektora. To też chłopiec, który przeczuwał dosyć, jak na wiek swój i ukształcenie, zrozumiał, że zaczął dosyć nieszczęśliwie. Początek rozmowy jaka na niego czekała, nie mógł mu także dodać otuchy.

— Chciałbyś się dostać do szkół, o ile się domyśleć mogę — mówił ksiądz, przypatrując się chłopcu. — Wszak tak?

Jakieś mruknięcie wraz z ukłonem niezgrabnym stanowić miało odpowiedź potwierdzającą.

— Rodziców masz?

— Niby mam, ale...

— No dobrze, rozumiem. Funduszów brak ci także zapewne. Ale szkoła rzemieślnicza nie przysposabia do egzaminu, nawet do klassy I-ej. Wiek twój także nie odpowiedni. Trudnych rzeczy chcesz, moje dziecko. Choćby ci nawet dopomódz tym lub owym sposobem, nie łatwo ci będzie dokonać czegoś, bo wreszcie gotowo to być wszystko nad siły twoje własne.

Z tem wyrażeniem „nad siły" spotykał się dzisiaj chłopiec po raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni, w swojem życiu. W tem zadaniu, które on podjąć zapragnął wszystko istotnie miało być wedle przyjętego wyrażenia „nad siły" prawdziwie.

Wstęp nie był zachęcający bynajmniej. Chłopiec miął czapkę w rękach, ksiądz wpatrywał się w niego uważnie i już zaczął suplikant rozmyślać o wycofaniu się, biorąc to wszystko co usłyszał za prostą odmowę, kiedy najniespodziewaniej dano mu konkluzyą tego wywodu całego, zawartą w tych kilku słowach:

— No przyjdź tu do mnie za trzy dni o tym samym czasie. Zobaczymy. Przyjdź!

Po trzech dniach męczącego oczekiwania zjawił się kandydat do nauki szkolnej w tym samym pokoju. Obserwatorem nie mógł on być w swom wieku, ale wypogodzona twarz starca od pierwszej chwili napełniła go otuchą. Nie mógł mieć tego zadowolenia w rysach człowiek mający takiemu jak on biedakowi, gorzkie odtrącenie oznajmić.

W dwa niespełna miesiące potem ziściło się pierwsze jego wielkie pragnienie. Dzięki staraniom kilku nauczycieli przygotowano go jako tako do egzaminu, przyjęto z czem przychodził, zamknięto oczy na braki, rachując, że silna wola tego dziecka wkrótce pozwoli mu powetować jego zaniedbanie dotychczasowe.

Pod tym względem nie zawiedli się protektorowie, ale protegowany, przyznać należy, doświadczył do pewnego stopnia zawodu. Szkoła nie dała mu tego, czego się po niej spodziewał. Zdolności okazały się niewielkie, rozwój ogólny wcale niewystarczający, a że w dodatku powierzchowności ujmującej odmówiła mu natura, a obejście przynosił ze sobą takie, jakie mu dać mogło jego wychowanie domowe, więc ze zjednaniem sobie przychylności towarzyszów szkolnych szło mu bardzo niepomyślnie. Wśród młodzieży dojrzalszej ocenionoby z pewnością jego zaszczytną żądzę wybicia się na wierzch — te dzieci patrzyły na niego z ukosa, boczyły się często, szydziły i nieoszczędzały intruzowi upokorzeń.

To zmusiło go do wczesnego zamknięcia się w sobie; zastygł tak odrazu i tego braku już mu życie późniejsze i praca nad sobą usilna, zapełnić niczem nie mogły. Była wola, urabiał się charakter, wytwarzały rękojmie jego użyteczności, ale o zupełnie normalnym rozwoju mowy być niemogło. W każdym razie była to roślina wegetująca w cieniu. Wchodził w świat inny, w sferę doskonalszą od tej w której się urodził, ale już w młodości było mu w tym świecie nie swojo i zawczasu zaczynał pojmować, że jeśli tu czegoś znacznego niedokona, wszystkie trudy i wysiłki będą daremne.

Jak tu dokonać czego jednak na świecie bez stosunków, poparcia, bez talentów, zdolności wybitniejszych i przymiotów towarzyskich?

Zadanie trudne — jeśli w ogóle nie zupełnie niewykonalne. Łatwym i przewidującym nie mógł być ten chłopiec w epoce szkolnej swojej karyery, ale tu już poczynała mu świtać myśl, że wszystko co wykracza po za granicę mrówczej pracy, czego nie będzie mógł zdobyć mozołem i wytrwaniem, okaże się dla niego niedostępnem. W pojedynku swoim z fatalnością jednego tylko miał sprzymierzeńca: silną wolę, i ten czynnik nawykł zawczasu przykładać jako miarę do wszystkich zamiarów i postanowień swoich.

W takich warunkach rozwijał się charakter tego człowieka

W duszy na wszystkie trudności życia znajdował zawsze jedną tylko odpowiedź: „muszę i powinienem", nie dziw zatem, że oprócz musu, powinności i obowiązku nic więcej niewidział przed sobą ani obok siebie. Tryumfy tego bojownika ograniczały się do przezwyciężania trudności i takimi znaczył on szlak swego życia etapami, obojętny na resztę pragnień i dążności ludzkich.

Po skończeniu szkół jedną tylko dostrzegał przed sobą drogę, a tą było urzędowanie. Do tego rodzaju pracy był on zbrojnym dostatecznie, i tu istotnie czekało na niego powodzenie, którego daremnie byłby z pewnością szukał gdzieindziej.

Na tle stosunków czysto miejscowych urobił się u nas typ biurokraty epoki minionej — typ traktowany jako ujemny przez wszystkie żywioły młodsze i ruchliwsze — w każdym jednak razie godzien poszanowania i przedstawiający niepospolitą użyteczność publiczną.

Czy się pan Melchior na jednej z doskonałości podobnych wzorował, czy samodzielnie wytworzył jakąś jej nową odmianę lub podgatunek, decydować nieośmielamy się tutaj, to pewna, że stawiano go jako wzór godzien naśladowania, że ceniono w nim człowieka nieprzystępnego pokusom, pracownika niezmordowanego, dręczyciela drugich w imie obowiązku, ale zarazem najsurowszego dręczyciela samego siebie.

„Nie można," „nie podołam," „to nad siły," wyrzucił raz na zawsze ze słownika swojego, i dosyć było któremu z podwładnych z czemś w tym rodzaju się odezwać, aby względy zwierzchnika raz na zawsze utracić. Była to tedy maszyna, ale maszyna idealna, i za taki typ akuratności uważali go zwierzchnicy i podlegli — przychylni i niechętni.

Tak dożył lat czterdziestu pięciu wieku. Co było dla niego dostępnem osiągnął; czego nie poznał ani przeczuł, tego nie zapragnął, i zdawało się wszystkim a jemu samemu najbardziej, że dopłynie do kresu swego pod tym znakiem, pod którym żeglował dotąd, gdy tymczasem los psotnik pchnął barkę jego na całkiem nieprzewidywane prądy i hazardy.

Jak widać panu Melchiorowi sądzonem było spłacić haracz powszechnem prawu w wieku o wiele

późniejszym niż spłaca większość śmiertelnych, a e los kalkulator równie nieubłagany jak pan Melchior sam, wystosował mu ten rachunek z doliczeniem zaległości i karami za przetrzymanie terminu. Należy przez to rozumieć, że szpakowaty już dobrze stary kawaler poznał kobietę, której zapragnął gorącej, niżby zapragnąć mogło wielu młodszych od niego, a że umiał chcieć, czekać i posiąść to, po co wyciągał rękę, więc pomimo, że było przeciwko niemu więcej niż za nim w tej grze zupełnie dla niego nowej, zwyciężył jednak ostatecznie, i w 47-ym roku życia ujrzał się małżonkiem młodym—jeśli nie wiekiem, to duchem z największą pewnością.

Jakie miał do usunięcia na drodze do swego szczęścia przeszkody, szczegółowo opowiadać nie będziemy, wątpliwości jednak nie podlega, że były przeszkody i to bardzo poważne, bo 30-letnią przyszłą panią Melchiorową nie nażarty straszono pożyciem z tak zwaną mumią zasuszoną i że zapewniały ją starsze i młodsze od niej kobiety, iż jakkolwiek przyszły jej oburzać się zwykł na myśl samą, iżby co „nad siły" jego być mogło, za to ona spotka się z pewnością z warunkami, które jej siły o wiele przechodzić będą.

Nie słuchała rad i podszeptów, poszła za przekonaniem własnem, jeśli już o uczuciu w ścisłem znaczeniu mowy tam być nie mogło, a jakkolwiek śledczych poszukiwań dokoła tego stadła nie brak było wcale, o nieszczęśliwem jego pożyciu nie miała w ciągu lat trzech nic do zanotowania kronika plotkarska, w juryzdykcyi której zamieszkiwali. Gdy zaś po trzech latach przyszło pani Melchiorowej rozstać się z mężem, głosiła bardzo poważna opinia, iż umierała ta godna szacunku kobieta ze spokojnością o los swojej dwumiesięcznej córeczki o wiele większą, niżby ją mieć mogła, gdyby dziecko swoje opiece jakiegokolwiek innego, choćby też najsympatyczniejszego w obcowaniu człowieka i małżonka pozostawiała. Umierała nadto z serdecznem dla niego współczuciem i żalem.

Jeśli to było prawdą należałoby z tego wnioskować, iż pan Melchior był człowiekiem rękojmi pod każdym względem — we wszelkich sprawach i stosunkach.

Jak na niego podziałała śmierć żony, jakim był dla dziecka swego, czy zaszła w tym człowieku twardym, nieugiętym, zimnym, zmiana jaka na korzyść, trudno było dociec tym mianowicie, którzy go widywali tylko w miejscu jego urzędowania. Tutaj pozostał sobą zupełnie, a że tam plotkarze upowszechniali od czasu do czasu, iż szarą godziną wymykał się codziennie owdowiały małżonek na Powązki, że w domu opowiadano sobie o jego czułości dla pozostałej sierotki różne szczegóły niepozbawione pierwiastku wysoce komicznego, więc przebąkiwano o tem i w biurze także. Nikt jednak z tych, którzy go widywali zawsze jednako zapiętego w mundurowy frak—zawsze wygolonego, niezmiennie sztywnego, i z jego nieodstępnym zielonym futerałem na prawym ręku, szczególnej wiary do tych pogłosek nie przywiązywał.

Mumia była mumią niezaprzecznie i taką pozostać musiała w sprawach wszelkiego porządku.

Z drugiej strony utrzymywać zaczęli z biegiem lat bezstronniejsi, że nie brak było i poszlak wprost przeciwnych. Spotykano teraz w godzinach pobiurowych pana Melchiora w ogrodzie Saskim w letnich miesiącach równie regularnie, jak w miejscu jego urzędowania, a wzrok wpatrzonego w bawiące się przy niem dziecko nabierał podobno jakiegoś szczególnego wyrazu, o który trudno byłoby nawet podejrzywać tę bryłę lodu, ożywiającą się tylko na widok reskryptów i paragrafów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z ideałów zaoceanowych.

. . . .

„Jaki wiek—jacy ludzie, taki rodzaj chwały." Mówi poeta.

Nie raz i nie sto razy udało się Amerykanom zadziwić starą naszą Europę. Wszystko co ztamtąd pochodzi, jest, nie powiemy wielkie, ale wielkich rozmiarów—jeśli nie oryginalne to zdumiewające ekscentrycznością—jeśli nie piękne wedle naszych pojęć, to w każdym razie ogromne, monstrualne.

Patrząc na ich dzieła, przypomnieć sobie nie raz musi Europejczyk francuzkie: „Si ce n'est la qualité, du moins la quantité," ale wątpliwości nie podlega, że upędzają się Yankesi za wszystkiem co niezwyczajne (nie chcemy powiedzieć: nadzwyczajne).

Otóż w pogoni za tą niezwyczajnością poddał bies chyba w własnej osobie jednemu z większych dzienników pomysł, aby wezwać do konkursu jubilerów miejscowych o włożenie na jedną niewiastę na raz jeden drogich kamieni za milion dolarów.

Zadanie nie było wcale łatwem, bo z jednej strony nie było jubilera, któryby posiadał brylantów za tak wysoką summę w swoim magazynie, a z drugiej nielada korpulencyi niewieściej potrzeba było do rozmieszczenia takiej ilości minerałów, i nie byle jakiej muskulatury, któraby przez ciąg kilku godzin potrafiła dźwigać to brzemię. Nadto nadmienić jeszcze wypada, że zastrzeżono się przeciw brylantom wartości wyjątkowej—takim na przykład jak angielski Kohinoor, francuzki Rejent, i kilka jeszcze innych okazów wartości wyjątkowo wysokiej. Szło jedynie o brylanty wartości średniej.

Ale ponieważ znalazł się dziennik, który zrobił propozycyę, musiał się znaleźć jubiler, który zamierzył wykonać tę potworność, a nadto znalazła się i piękna Amerykanka, która zapragnęła wsławić się przy pomocy tego jednorazowego występu, połączonego z unieśmiertelnieniem niebywałego widowiska za pośrednictwem fotografii. Nazwisko tej obywatelki: miss Virginia Carle.

Pozakładano tedy stoły całe kamyczkami i jubilerszczyzną wszelkiego rodzaju, wprowadzono odpowiednio ubraną i ufryzowaną piękność i rozpoczęto rozmieszczanie tego wszystkiego na czole, ramionach, plecach, wreszcie we włosach i na powierzchni sukni. Manipulacya trwała kilka godzin, bo szło przecież o sens i smak jakiś w tem wszzstkiem, skoro sens i smak uznano raz za możliwy wobec założenia samego.

A więc najprzód włożono podwójny rząd brylantów, o średnicy wielkiego palca męzkiego, ułożonych w spadającą na biust rivierę. Było tego za 80 tysięcy dolarów.

Szwy stanika wysadzono soliterami w liczbie 6-ciu, z których każdy wart był 200 dolarów.

Na głowie umieszczono rodzaj tiary ze skrzydłami Merkurego, naśladowanie czaplego pióra i jakiegoś w dodatku ptaka — to wszystko rozumie się brylantowe, nadto umieszczono stroik z rubinów i brylantów przedstawiający bratki, chryzanthemy i motyla. Ta flora i fauna cała reprezentowała 100 tysięcy dolarów.

Przepaska na czole skombinowana ze szmaragdów i brylantów wraz ze strzałą brylantową wpiętą we włosy, szpilki brylantowe, kolce brylantowe wielkiej wartości przenosiły się ze stołów na osobę miss Carle, ale jubiler po kilkogodzinnej pracy ze strachem spostrzegł, że do miliona dolarów jeszcze daleko. Zabrano się więc do dekoracyi spódnicy w gwiazdy z wielkimi soliterami w pośrodku, a czego nie pomieszczono tam, zużytkowano na naramienniki, bransolety i dopełniono pierścieniami, których naliczono wogóle 71.

Tym sposobem zmieścił się cały milion dolarów.

Błyszczało tedy, świeciło oślepiało, a w końcu przekonali się wszyscy jaką to idyotyczną niedorzeczność spełnić można przy pomocy miliona dolarów, kiedy się ma gust estetyczny amerykański i amerykańskie pojęcie o tem, co wielkie.

A.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

NAJPIERWSZA

SZKOŁA KROJU, SZYCIA

I PRACOWNIA SUKIEN

W WARSZAWIE, 48511

E. EHRENKREUTZ

Mistrzyni Cechowej.

Po powrocie z zagranicy, pospieszne kursa dla osób przyjezdnych i dostarczanie takowym najświeższych fasonów.

Zgoda Nr 3. — Chmielna Nr 24.

W Zakładzie Naukowym 6 k.

MARYI RAUM

47933

Nowy-Świat Nr 15 (róg Jerozolimskiej).

Egzamina wstępne rozpoczną się dnia 2 Września, lekcye 5 Września; zapis pensyonarek i uczennic przychodnich od 26 Sierpnia, między godziną 10—5 po południu.

Biuro Nauczycielskie

JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

Nauczycielki 2-go Gimnazyum, Warszawa, ul. WSPÓLNA Nr 40, tamże Zakład froeblowski **L. Jahołkowskiej.** 48416

!WYPRZEDAŻ!

pozostałych towarów z Magazynu

E. LOTH

jako to: **Kapeluszy letnich i filcowych damskich i dziecinnych, oraz mężkich** wyłącznie słomkowych, również **Kwiatów** po cenach **niżej kosztu**, odbywa się w dalszym ciągu w lokalu prywatnym, przy ulicy Nowy-Swiat Nr 57 (blizko S-to Krzyzkiej).

Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

Krakowskie-Przedmieście Nr 2.

(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach oraz dobre wychowanie, w najwyższem znaczeniu tego słowa. Gimnastyka muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie. Rok szkolny zaczyna się 5 Września.



Sposób użycia załączam przy flakonach, i wysyłam na żądanie gratis i franco. 463612

CAPILLIFER

Niezawodny środek wzmacniający cebulki włosów i niszczący łupież wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką.

Ceny flakonów stałe: rs. **1** kop. **20, 2** i **3** rs.

Pozwolenie urzędu lekarskiego za Nr 1036. Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż tylko u wynalazcy **T. L. Grabowskiego, Aleja Jerozolimska Nr 76, m. 7.**

Obstalunki od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem.

Specyalna Szkoła Haftów

kościelnych, białych i kolorowych. Mebli, stylowych ekranów na atłasie i pluszu. Wybór zagranicznych wzorów.

Warszawa, Zgoda 3, mieszkania 1. 48511

SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej.

Przyjmuje pensyonarki dorosłe i panienki kształcące się prywatnie. Rysunki i Malarstwo pod kierunkiem artystów malarzy Andrychiewicza i Wiśniewskiego. Półrocze rysunków **rs. 12.** Półrocze haftów artystycznych **rs. 12.** Kursa otwarte 2 Września

HORTENSYA Nr 7. 47746

Szkoła Prywatna Mężka

przy ulicy Chmielnej numer 13, przygotowywa uczniów do niższych trzech klas średnich zakładów naukowych. Przyjmuje się nawet nieumiejących czytać i pisać. Wymagane są: metryka urodzenia i świadectwo szczepienia ospy. Przy szkole stancya dla uczniów szkół prywatnych. Zapis odbywa się codziennie od godziny 10 z rana do 2-ej po południu. Przełożony Szkoły

48224 **R. KOWALSKI,**

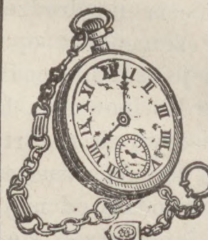
b. nauczyciel szkół rządowych.

4139 **Wszystkie Książki i Nuty** przez kogobądź wydane, posiada lub dostarcza prędko i **prenumeraty** przyjmuje Księgarnia i Skład Nut **Maurycego Orgelbranda** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. **Katalogi i Prospekty bezpłatnie.** Tamże **Wypożyczalnia** (czytelnia) **Książek** polskich i francuzkich.

M. POZZI

POLECA:

ZEGARKI i BIŻUTERYĘ,



przyjmuje zamówienia i reperacye oraz złocenia i srebrzenia.

Nowy-Świat 31 (róg Chmielnej).

Nakład J. Błaszkowskiego.

18 WYDANIE

NAJLEPSZEJ I NAJWIĘKSZĄ WZIĘTOŚĆ MAJĄCEJ

NOWEJ METODY

do nauczenia się łatwym sposobem 4-ch języków

ruskiego, polskiego, francuskiego i niemieckiego w wokabułach, rozmowach i przykładach, z dodaniem prawideł wymawiania, ułożonych przez ***ELKANĘ.*** Cena 53 kop., w oprawie 60 kop.

Bocquel. Rozmowy francusko-polskie. Cena rs. 1.

Bocquel. Rozmowy russko-francuskie. Cena rs. 1.

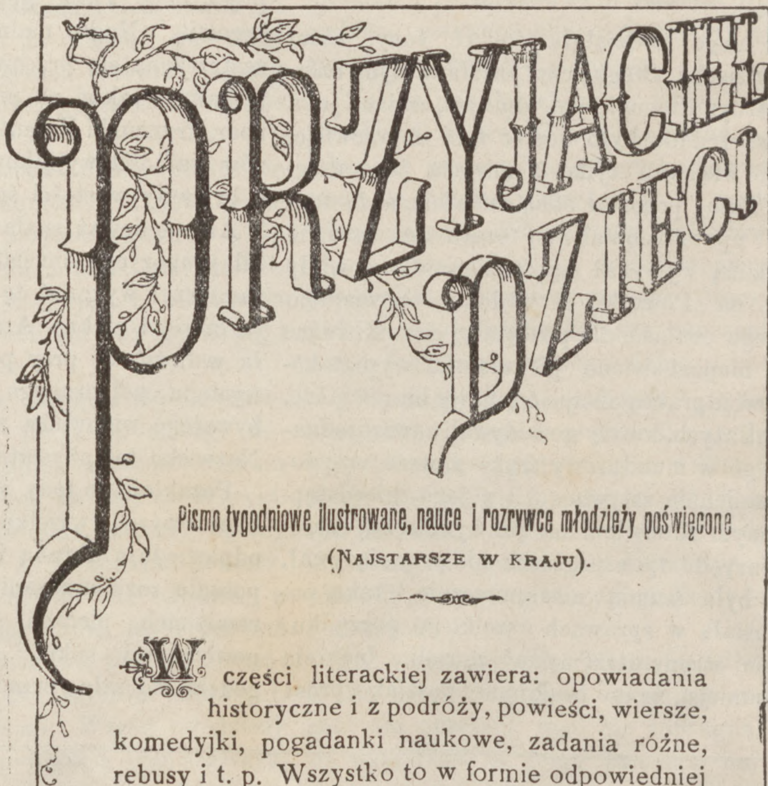
Dmochowski. Historya święta Starego i Nowego Testamentu. Cena kop. 10.

Sierociński. Gramatyka polska mniejsza kop. 10, większa kop. 20.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni M. ARCTA w Warszawie,

Nowy-Swiat 53. 48612



W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna, bogata i bardzo starannie prowadzona.

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		*Na prowincyi:*	
Rocznie	rs. 4.	Rocznie	rs. 5 k. —
Kwartalnie	rs. 1.	Kwartalnie	rs. 1 k. 25

Jan Skiwski, Warszawa, Chmielna 26.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Августа 1896. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. **DODATEK**